

ALMA KATSU

GLÓD



# Prolog

*Kwiecień 1847*

Wszyscy się zgadzali, że to była ciężka zima, jedna z najgorszych, jakie pamiętano. Tak ciężka, że wypędziła z gór niektóre szczepy Indian – Pajutów i Miwoków. Nie było zwierzyny i głód bił z ich niespokojnych ruchów. Zostawili za sobą opustoszałe obozowiska i czarne, bezwonne ślady ognisk, niczym ciemne oczy w ziemi.

Kilku Pajutów nawet opowiadało, że widzieli szalonego białego człowieka, który zdołał przeżyć tę straszliwą zimę, ślizgając się po zamarznętym jeziorze jak duch.

To na pewno był ich człowiek, niejaki Lewis Keseberg. Ostatni, który przeżył z tragicznej Wyprawy Donnera. Wysłano grupę ratowników, żeby odszukać Keseberga i przywieźć go z powrotem żywego, o ile to możliwe.

W połowie kwietnia śnieg sięgał jeszcze koniom do piersi; musieli je zostawić na miejscowym ranczu i dalej iść na piechotę.

Kiedy dotarli na szczyt – zimny, wietrzny i pusty – od jeziora dzieliły ich trzy dni drogi. Wiosna oznaczała błoto, mnóstwo błota, ale wyżej wciąż królowała zima i ziemię pokrywała gru-

ba warstwa bieli. Ten śnieg był zdradliwy; ukrywał rozpadliny, strome uskoki. Śnieg dotrzymuje sekretów. Myślisz, że stoisz na twardym gruncie, ale to tylko kwestia czasu, zanim półka pod twoimi nogami się rozpadnie.

Zejscie było znacznie trudniejsze, niż się spodziewali; buty zapadały się w śniegu, śliskim i wilgotnym, nieludzko zachłanym, jakby chciał wciągnąć w głąb całą ekipę.

Im bliżej podchodzili do jeziora, tym robiło się ciemniej. Wysokie drzewa przesłaniały szczyty gór i nie dopuszczały słońca. Las nosił wyraźne ślady zniszczeń, świadczące o tym, ile napadało śniegu: gałęzie były połamane, kora zdarta do wysokości trzydziestu, czterdziestu stóp. Nad jeziorem panowała upiorna cisza. Nie słyszeli żadnych dźwięków: ptak nie zaśpiewał, ryba nie plusnęła w wodzie. Tylko tupot ich stóp i ciężkie oddechy, i czasami trzask topniejącego śniegu.

Pierwsze, na co zwrócili uwagę, kiedy z jeziora uniosła się mgła, to smród: cała okolica cuchnęła padliną. Gęsty fetor rozkładu mieszał się z zapachem sosen, gdy grupa zbliżała się do jeziora. Żelazisty odór krwi zdawał się napływać zewsząd, z ziemi, wody i nieba.

Uprowadzono ich, że ci, którzy przeżyli, mieszkali w opuszczonej chacie i dwóch przybudówkach, jednej opartej o wielki głaz. Chatę znaleźli szybko, okrążając brzeg jeziora, które faloowało pod leniwymi pasmami mgły. Stała samotnie na niewielkiej polanie. Z pewnością była opuszczona, a jednak nie mogli się pozbyć wrażenia, że nie są sami, że ktoś czeka na nich w środku, niczym stwór z bajki. Złe przeczucia opanowały całą grupę; ten nienaturalny zapach w powietrzu działał wszystkim na nerwy. Podchodzili do chaty powoli, ze strzelbami w pogotowiu.

Na śniegu leżało kilka przedmiotów: książeczka do nabożeństwa, z wstążką zakładki trzepoczącą na wietrze.

Parę rozrzuconych zębów.

Coś, co wyglądało jak krąg z ludzkiego kręgosłupa, obrany do czysta.

Złe przecucia podchodziły im do gardła i szczypały w oczy. Kilku nie chciało iść dalej. Drzwi chaty mieli teraz przed sobą, obok stała siekiera oparta o ścianę.

Drzwi otworzyły się same.

**CZERWIEC 1846**

## Rozdział pierwszy

Charles Stanton najbardziej lubił porządnie, dokładnie się ogolić.

Tego ranka stał przed wielkim lustrem przywiązany do wozu Jamesa Reeda. Preria rozpościerała się we wszystkie strony jak koc, chwilami falująca od wiatru; miła za miłą trawy, z których sterczała tylko czerwona iglica Chimney Rock, niczym wartownik stojący w oddali na straży. Kiedy Stanton zmrużył oczy, karawana wozów wyglądała jak dziecięce zabawki rozrzucone po ogromnym, nieskończonym pustkowiu – kruche, nieważne, nic nieznaczące.

Odwrócił się do lustra i oparł ostrze pod podbródkiem, przypominając sobie jedno z ulubionych powiedzeń dziadka: „Nikczemnik kryje się za brodą jak Lucyfer”. Znał wielu mężczyzn, którym wystarczył dobrze naostrzony nóż, niektórzy używali nawet siekierki, ale dla niego nic nie mogło zastąpić prostej brzytwy. Nie wzdrygał się przed dotykiem zimnego metalu na gardle. Właściwie nawet go lubił.

– Nie sądziłem, że jesteś próżnym człowiekiem, Charlesie Stanton – odezwał się ktoś za jego plecami. – Ale gdybym cię

nie znał, pomyślałbym, że podziwiasz swoje odbicie. – Edwin Bryant podszedł do niego z blaszanym kubkiem kawy. Jego uśmiech szybko zbladł. – Ty krwawisz.

Stanton spojrział na brzytwę. Pokrywały ją smugi czerwieni. W lustrze zobaczył szkarłatną linię na gardle, ziejące trzycalo-  
we rozcięcie w miejscu, gdzie przyłożył ostrze. Brzytwa była tak ostra, że nic nie poczuł. Zerwał ręcznik z ramienia i przycisnął do rany.

– Widocznie ręka mi się omsknęła – powiedział.

– Usiądź – nakazał Bryant. – Daj mi obejrzeć. Wiesz, trochę się znam na leczeniu.

Stanton odsunął się od jego wyciągniętej ręki.

– Nic mi nie jest. To tylko drobny wypadek.

Cała ta przeklęta podróż taka była. Jeden niespodziewany „wypadek” za drugim.

Bryant wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz. Wilki zwęszą krew na dwie mile.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Stanton.

Wiedział, że Bryant nie przyszedł z drugiego końca karawany tylko pogadać, nie teraz, kiedy mieli zaprzęgać. Wokół nich trwał zwykły poranny chaos. Woźnice spędzali woły, ziemia dudniła pod ciężarem zwierząt. Ludzie składali namioty i ładowali na wozy albo zasypywali ogniska piaskiem. W powietrzu rozbrzmiewały pokrzykiwania dzieci noszących wiadra wody do picia i mycia.

Stanton i Bryant znali się niezbyt długo, ale szybko się zaprzyjaźnili. Oddział, z którym Stanton wcześniej podróżował – mała karawana z Illinois, składająca się głównie z rodzin Donnerów i Reedów – dołączył ostatnio za Independence

w Missouri do znacznie większej grupy, dowodzonej przez byłego wojskowego Williama Russella. Edwin Bryant jako jeden z pierwszych członków grupy Russella przedstawił się i wyraźnie ciągnęło go do Stantona, może dlatego, że obaj byli samotnymi mężczyznami w karawanie pełnej rodzin.

Z wyglądu Edwin Bryant stanowił przeciwieństwo Stantona, który był wysoki i silny z natury i przez całe życie komplementowano go za urodę. Odziedziczył ją po matce, z tego, co wiedział. Miał jej gęste, faliste kasztanowe włosy i tęskne oczy.

„Twój wygląd to dar diabła, chłopcze, żebyś kusił innych do grzechu”. Następne powiedzenie dziadka. Raz trzasnął Stantona w twarz sprzączką pasa, może w nadziei, że przepędzi diabła, którego tam widział. Nie poskutkowało. Stanton zachował wszystkie zęby, a nos się zagoił. Blizna na czole zbladła. Diabeł najwyraźniej pozostał.

Bryant, starszy o jakieś dziesięć lat, dziennikarz z zawodu, był mniej wytrzymały niż większość mężczyzn uczestniczących w wyprawie, farmerów, kowali i cieśli, którzy zarabiali na życie ciężką pracą fizyczną. Miał słaby wzrok i prawie zawsze nosił okulary. Nie dbał o wygląd, jakby wiecznie błędził gdzieś myślami. Jednak niezaprzeczalnie był inteligentny, może najbystrzejszy w całej karawanie. Twierdził, że za młodu przez kilka lat praktykował u doktora medycyny, chociaż nie chciał objąć posady obozowego lekarza.

– Popatrz na to. – Kopnął kępkę trawy u ich stóp, wzbijając obłoczek kurzu. – Zauważyłeś? Trawa jest sucha jak na tę porę roku.

Od kilku dni podróżowali przez płaską równinę, porośniętą wysoką preriową trawą i niskimi krzakami. Horyzont ciągnął się



długą linią. Po obu stronach szlaku w oddali wznosiły się i opadały złote i koralowe wzgórza z piaskowca, niektóre sękaty jak palce wskazujące prosto w niebo. Stanton kucnął i wyrwał kilka źdźbeł trawy. Miały najwyżej dziesięć cali długości i przybrały już wyblakły brązowozielony kolor.

– Zdaje się, że niedawno była tu susza – powiedział. Wstał, otrzepał ręce z brudu i spojrzał w stronę odległej kurtyny purpurowej mgiełki. Preria zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

– A my właśnie wjeżdżamy na równinę – zauważył Bryant. Znaczenie jego słów było jasne: może nie wystarczy trawy dla wołów i żywego inwentarza. Trawa, woda, drewno – trzy rzeczy, których potrzebowała karawana wozów. – Warunki są gorsze, niż przypuszczaliśmy, i czeka nas długa droga. Widzisz ten łańcuch górski na horyzoncie? To dopiero początek, Charlesie. Za tymi górami są inne... i pustynie, i prerie, i rzeki głębsze i szersze niż te, które dotąd przekraczaliśmy. To wszystko jest między nami a Pacyfikiem.

Stanton słyszał już tę litanię. Bryant nie mówił prawie o niczym innym, odkąd dwa dni wcześniej natknęli się na chatę trapera w Ash Hollow. Pusta chata stała się czymś w rodzaju frontowego przyczółka dla przekraczających równinę pionierów, którzy zostawiali tam listy, żeby następny podróżny jadący na wschód zabrał je i nadał w prawdziwym urzędzie pocztowym. Wiele z tych listów to były po prostu złożone kartki papieru przyciśnięte kamieniem w nadziei, że kiedyś dotrą do adresata w domu.

Czerpał dziwną pociechę z widoku tych listów. Wydawały się świadectwem umiłowania wolności i dążenia do poprawy losu, bez względu na ryzyko. Ale Bryant zrobił się niespokojny.

„Popatrz na te wszystkie listy. Są ich dziesiątki, może nawet sto. Osadnicy, którzy je napisali, wyprzedzili nas na szlaku. Należymy do ostatnich, którzy wyruszyli w tym roku, i wiesz, co to znaczy, prawda?”, zapytał Stanton. „Możemy się spóźnić. Z nadejściem zimy śnieg zamknie górskie przełęcze, a na dużych wysokościach zima przychodzi wcześniej”.

– Cierpliwości, Edwin – powiedział teraz Stanton. – Dopiero co zostawiliśmy za sobą Independence...

– Ale jest środek czerwca. Posuwamy się za wolno.

Stanton z powrotem przerzucił ręcznik przez ramię i rozejrzał się. Słońce weszło już przed paroma godzinami, a jednak jeszcze nie zwinęli obozu. Wszędzie wokół niego rodziny nadal kończyły śniadanie przy resztkach obozowych ognisk. Matki kołysały na rękach niemowlęta i plotkowały. Chłopiec bawił się z psem zamiast spędzać z pola woły należące do jego rodziny.

– Dziwisz im się w taki piękny poranek? – rzucił lekko.

Po tygodniach na szlaku nikomu nie było pilno zmierzyć się z następnym dniem. Połowa mężczyzn spieszyła się tylko wtedy, kiedy przyszła pora otworzyć dzbanek z zacierem. Bryant zmarszczył brwi.

– W każdym razie powinienes gadać z Russellem – poradził mu Stanton i potarł się po karku. Bryant skrzywił się i pochylił, żeby odstawić kubek z kawą.

– Rozmawiałem z Russellem i on się zgadza, ale nic nie robi w tym kierunku. Ten człowiek nie potrafi nikomu odmówić. Pamiętasz, jak pozwolił tym ludziom zapolować na bizony i karawana przez dwa dni tkwiła na miejscu, żeby uwęździć i wysuszyć mięso.

– Jeszcze podziękujemy za to mięso dalej na szlaku.

– Gwarantuję ci, że napotkamy więcej bizonów. Ale tych dwóch dni już nigdy nie odzyskamy.

Stanton dostrzegał sens w słowach rozmówcy i nie chciał się z nim kłócić.

– Słuchaj, pójdę z tobą dziś wieczorem i razem pogadamy z Russellem. Przekonamy go, że to poważna sprawa.

Bryant pokręcił głową.

– Mam dość czekania. Przyszedłem ci to powiedzieć: opuszczam karawanę. Kilku z nas pojedzie dalej konno. Wozy są zbyt powolne. Mężczyźni z rodzinami, rozumiem, że potrzebują wozów. Mają małe dzieci, wiozą starych i chorych. Muszą się troszczyć o swój dobytek. Nie mam im tego za złe, ale nie będę ich zakładnikiem.

Stanton pomyślał o swoim wozie, swojej parze wołów. Kosztowały go niemal wszystkie pieniądze, jakie zarobił na sprzedaży sklepu.

– Rozumiem – rzucił.

Oczy Bryanta błyszczały za szklami okularów.

– Ten jeździec, który dołączył do nas wczoraj wieczorem, powiedział mi, że Washoe wciąż obozują na południe od swoich zwykłych pastwisk, jakieś dwa tygodnie drogi stąd. Nie mogę ryzykować, że się z nimi rozminę.

Uważał się po trosze za antropologa amatora i podobno pisał książkę o wierzeniach religijnych różnych szczepów. Mógł godzinami opowiadać o indiańskich legendach – mówiących zwierzętach, bogach oszustach, duchach żyjących w ziemi, wodzie i wietrze – i tak się entuzjasmował, że niektórzy osadnicy zaczęli go traktować podejrzliwie. Stanton lubił opowieści Bryanta, jednak zdawał sobie sprawę, że mogą przerażać chrześcijanina

wychowanego wyłącznie na Biblii, który nie potrafił zrozumieć, jak biały człowiek może się fascynować wierzeniami tubylców.

– Wiem, że ci ludzie to twoi przyjaciele – ciągnął Bryant; kiedy się zapalał do jakiegoś tematu, trudno go było powstrzymać. – Ale, na litość boską, co im strzeliło do głowy, żeby taszczyć ze sobą do Kalifornii całe gospodarstwa?

Stanton uśmiechnął się mimo woli. Wiedział oczywiście, o co chodzi Bryantowi: o wielki, wykonany na zamówienie preiowy szkuner George’a Donnera. Opowiadano o nim w całym Springfield, kiedy go budowano, a potem mówiono o nim w całej karawanie. Konstrukcję wagonu podwyższono o kilka stóp, żeby zrobić miejsce na ławkę i zakryty schowek. Wyposażono go nawet w mały piecyk z kominem wyprowadzonym przez płócienny dach.

Bryant kiwnął głową w stronę obozowiska Donnerów.

– Jak oni chcą przebyć góry z taką landarą? Nawet zaprzęg z czterech wołów nie wciągnie jej na strome zbocze. I po co? Żeby królowa Saby podróżowała w komforcie. – Przez ten krótki czas, odkąd kontyngent ze Springfield dołączył do większej grupy Russella, Edwin Bryant zdążył nabrać serdecznej niechęci do Tamsen Donner, to było oczywiste. – Zaglądałeś tam do środka? Jak barka rozkoszy Kleopatry, puchowe matrace i jedwabie.

Stanton uśmiechnął się ironicznie. Donnerowie wcale nie sypiali w środku; ich wóz był wyładowany domowymi sprzętami – włącznie z pościelą – jak wszystkie inne w karawanie. Bryant miał skłonności do świętoszkowatej przesady.

– Myślałem, że George Donner to lepszy gość – powiedział. – Widocznie się myliłem.

– Dziwisz mu się, że chce uszczęśliwić żonę? – zapytał Stanton. Chciał uważać George’a Donnera za przyjaciela, ale nie mógł, znając jego koneksje. A teraz, co gorsza, trudno mu było oderwać wzrok od żony Donnera.

Tamsen Donner była o dobre dwadzieścia lat młodsza od męża i oszołamiająco piękna, chyba najpiękniejsza kobieta, jaką Stanton widział w życiu. Przypominała porcelanowe lalki stojące w pracowniach krawieckich i prezentujące najnowsze francuskie modele w miniaturze. Miała przebiegłe spojrzenie, które go pociągało, i cieniutką talię, tak wąską, że mężczyzna mógł ją objąć dłońmi. Czasem musiał się powstrzymać, żeby nie wyobrażać sobie, jak by się czuł, trzymając tę talię w swoich dłoniach. Nie pojmował, jakim cudem George Donner zdobył taką kobietę. Zapewne miało to związek z jego pieniędzmi.

– Nasza grupa wyrusza jutro – powiedział ciszej Bryant. – Dlaczego się do nas nie przyłączysz? Jesteś sobie panem, nie musisz się troszczyć o żadną rodzinę. W ten sposób możesz dotrzeć znacznie szybciej do... tam, dokąd się wybierasz.

Najwyraźniej znowu zarzucał przynętę, próbując się dowiedzieć, dlaczego Stanton podróżuje na zachód. Większość ludzi opowiadała o tym aż nadto chętnie. Bryant wiedział, że Stanton miał w Springfield dom i sklep pasmanteryjny, ale nie zdradził mu – ani nikomu innemu – powodów, dla których postanowił porzucić to wszystko. Jego partner, ten z głową do interesów, zmarł niespodziewanie i zostawił mu zarządzanie sklepem. Stanton miał do tego dryg, ale brakowało mu zamięłowania, żeby obsługiwać niekończący się strumień klientów, targować się z tymi, którym nie podobały się jego ceny, starać się zapełniać półki towarami, które przypadną do gustu mieszkańcom Springfield,

sąsiadkom, które ledwie znał i z pewnością ich nie rozumiał (egzotyczne wody toaletowe... jaskrawe satynowe wstążki?). Czuł się samotny i również dlatego opuścił Springfield.

Ale nie tylko z tego powodu.

Teraz znów wykręcił się od odpowiedzi.

– Co bym zrobił z wozem i wołami? – zapytał. – Nie mogę ich po prostu zostawić na szlaku.

– Nie musiałbyś. Na pewno znajdziesz w grupie kogoś, kto je kupi. Albo możesz wynająć któregoś woźnicę, żeby doprowadził twój wóz bezpiecznie do Kalifornii.

– No, nie wiem – powiedział Stanton.

W przeciwieństwie do Bryanta nie przeszkadzało mu podróże z rodzinami, hałasujące dzieci, piskliwa paplanina kobiet na szlaku. Ale chodziło o coś więcej.

– Daj mi trochę czasu do namysłu – poprosił.

W tym momencie podjechał galopem mężczyzna na koniu, poprzedzany chmurą kurzu. George Donner. Do jego obowiązków należało wyprawienie rano karawany w drogę. Zwykle zabierał się do tego wesoło, popędzał rodziny, by pakowały bagaże i zaprzęgały woły, żeby wielka karawana znowu mogła ruszyć w drogę. Ale tego ranka twarz miał mroczną.

Stanton przywitał go machnięciem ręki. Więc wreszcie nadeszła pora odjazdu.

– Właśnie miałem przywiązać... – zaczął, ale Donner mu przerwał.

– Jeszcze nie ruszamy – oznajmił ponuro. – Zdarzył się wypadek.

Złe przecucia ogarnęły Stantona, ale je stłumił.

Bryant podniósł wzrok na Donnera.

– Mam zabrać apteczkę?

George Donner poprawił się w siodle.

– Nie taki wypadek. Mały chłopiec zaginął. Nie było go rano w namiocie, kiedy rodzice przyszedli go obudzić.

Stanton natychmiast poczuł ulgę.

– Dzieci lubią się włóczyć...

– Tak, podczas jazdy. Ale nie w nocy. Rodzice tu zostają, żeby szukać syna. Kilku innych zostaje z nimi do pomocy.

– Szukają ochotników? – zapytał Stanton.

Donner pokręcił głową.

– Mają więcej niż trzeba – odparł. – Jak tylko odciągną swoje wozy ze szlaku, reszta karawany może ruszać. Wypatrujcie wszelkich śladów chłopca. Jak Bóg da, niedługo się znajdzie. – Odjechał, ciągnąc za sobą obłoczek kurzu.

Jeśli dzieciak powędrował gdzieś w nocy, rodzice już go raczej nie zobaczą. Mały chłopiec mógł się zagubić w tej ogromnej pustce, w tej bezlitosnej przestrzeni rozciągającej się we wszystkich kierunkach, wśród tych horyzontów, które ujarzmiły nawet słońce.

Stanton zawahał się – może powinien iść z nimi. Dodatkowa pomoc nie zaszkodzi. Przyłożył rękę do szyi, zamierzając dosiąść konia. Odjął palce splamione czerwinią. Znowu krwawił.

## Rozdział drugi

Wozy ciągnęły się na równinie przed Tamsen Donner daleko jak okiem sięgnąć. Ktokolwiek wpadł na pomysł, żeby nazwać wozy pionierów „preriowymi szkunerami”, miał rację: płócienne budy rzeczywiście wyglądały jak żagle, oślepiająco białe w jasnym porannym słońcu. A gęste kłęby kurzu wzbijane przez koła wozów przypominały wzburzone fale, niosące miniaturowe statki przez pustynne morze.

Większość pionierów wolała iść piechotą niż jechać, żeby oszczędzić wołom dodatkowego ciężaru. Maszerowali po trawie z obu stron szlaku, żeby nie wdychać najgorszego kurzu. Zwierzęta – krowy mleczne i mięsne, kozy i owce – też pędzono po trawie; chłopcy i dziewczynki poganiali je witkami, a pies pilnował, żeby maruderzy nie zostawiali z tyłu.

Tamsen lubiła chodzić. Mogła wtedy wyszukiwać zioła i rośliny, których potrzebowała do swoich lekarstw: krwawnik na gorączkę, kora wierzbowa na ból głowy. Prowadziła w dzienniku rejestr znalezionych okazów i dołączała fragmenty nieznanymi, żeby je później zbadać i eksperymentować.



Poza tym gdy szła, mężczyźni mogli podziwiać jej figurę. Po co wyglądać tak jak ona, skoro to miałyby się marnować?

I było coś jeszcze. Kiedy siedziała zamknięta w wozie przez cały dzień, wzbierał w niej dokuczliwy, jątrzący niepokój, jak u zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Tak samo czuła się w domu. Na zewnątrz ta bestia – ta zmora – mogła przynajmniej buszować swobodnie, a Tamsen miała czas odetchnąć i pomyśleć.

Tego ranka jednak szybko pożałowała swojej decyzji. W jej stronę toczyła się Betsy Donner, żona młodszego brata George'a. Betsy właściwie nie budziła w niej antypatii, ale bynajmniej nie budziła też sympatii. Była prostą kobietą, nie jak przyjaciółki, które Tamsen miała w Karolinie, zanim wyszła za George'a: inne nauczycielki, zwłaszcza Isabel Topp; Hattie, pokojówka Isabel, która nauczyła ją ziołolecznictwa; żona pastora, która umiała czytać po łacinie. Tamsen tęskniła za nimi wszystkimi.

To był największy problem. Podróżowali po szlaku już od półtora miesiąca i Tamsen była rozdrażniona. Wyobrażała sobie, że im dalej dotrą na zachód, tym bardziej poczuje się wolna – a tymczasem czuła się zamknięta w pułapce. Nie tego się spodziewała. Przez pierwsze tygodnie to wszystko miało dla niej urok nowości. Mieszkanie w wozie i obozowanie nocą pod gwiazdami. Znajdowanie dzieciom zajęć dzień po dniu na bezkresnym szlaku, wymyślanie zabaw, przekształcanie zabaw w lekcje. Zaczęło się jak przygoda, teraz jednak ciągle rozpamiętywała, jakie się stało męczące i jak wiele zostawili za sobą.

Jak wiele ona zostawiła.

Mroczne, dręczące pragnienie tylko narastało z każdą przebytą milą, zamiast ustępować.

Tamsen od początku była przeciwna przeprowadzce na zachód. Ale George jasno dał do zrozumienia, że to on decyduje, co jest dobre dla rodziny. Przyszedł do niej jako właściciel wielkiego rodzinnego przedsiębiorstwa: setki akrów pod uprawą i stado bydła. „Urodziłem się do bogactwa. Zostaw mi zarządzanie naszym rodzinnym interesem, a niczego ci nie zabraknie”, obiecał. Pociągała ją jego pewność siebie; była sama i zmęczona walką o byt po śmierci pierwszego męża, który zmarł na ospę. Powiedziała sobie, że z czasem pokocha George’a. Musiała.

Tylko w ten sposób mogła zagłuszyć ból złamanego serca, poczucie, że źle postępuje.

Poza tym, cokolwiek czuła, wiedziała, że zawsze może zaufać Jory’emu. Jej brat uważał, że George jest dla niej odpowiedni; chciała w to wierzyć. Musiała w to wierzyć.

Potem George wpadł na pomysł, żeby się przenieść do Kalifornii. „To kraina możliwości”, powiedział jej, kiedy przeczytał książki napisane przez osadników, którzy już odbyli tę podróż. „Będziemy bogaci ponad nasze najśmielsze marzenia. Możemy tam nabyć tysiące akrów, znacznie więcej, niż kiedykolwiek moglibyśmy kupić w Illinois. Zbudujemy własne imperium i przekazemy je naszym dzieciom”. Namówił swojego brata Jacoba, żeby pojechał z nim na te ogromne tereny. Tamsen słyszała pogłoski o kłopotach w Kalifornii. Czy tam nie mieszkają Meksykanie? Przecież nie oddadzą nam tak po prostu swojej ziemi. A doniesienia o zbliżającej się wojnie z Meksykiem, tak jak było w Teksasie? Kiedy o to zapytała, zlekceważył jej obiekcje. „Amerykanie masowo przenoszą się do Kalifornii. Rząd by im nie pozwolił, gdyby to było niebezpieczne”, argumentował. Na dowód wyciągnął nawet swoją ulubioną książkę,

*Przewodnik emigranta po Oregonie i Kalifornii*, pióra Lansforda Warrena Hastingsa, prawnika, który odbył tę podróż. I chociaż miała jeszcze wiele pytań, w głębi duszy też chciała poczuć tę samą nadzieję co mąż... że w Kalifornii może będzie lepiej.

Na razie jednak utknęła w tej podróży bez końca, otoczona ludźmi, którzy wcale jej nie obchodzili. Rodziną męża.

– Dzień dobry, Betsy – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu, kiedy szwagierka do niej podeszła. Kobiety ciągle musiały się uśmiechać. Tamsen opanowała tę sztukę tak dobrze, że czasem ją to przerażało.

– Dzień dobry, Tamsen. – Betsy była przysadzistą kobietą, szeroką w ramionach i biodrach, z ciastowatą talią, której gorset nie mógł ujarzmić. – Słyszałaś nowiny? Zaginął chłopiec z jednego wozu.

Tamsen wcale się nie zdziwiła. Karawanę od początku spotykało jedno nieszczęście za drugim; same znaki, jeśli ktoś potrafił je odczytać. W zeszłym tygodniu otworzyła beczkę mąki i odkryła, że załęgły się tam ryjkowce. Oczywiście musieli ją wyrzucić, kosztowna strata. Następnej nocy kobieta – Philippine Keseberg, młoda żona jednego z mniej zamożnych mężczyzn w karawanie – urodziła martwe dziecko. Tamsen skrzywiła się, wspominając, jak ciemna preria zdawała się pochłaniać jęki kobiety i więzić je w powietrzu wokół obozu.

No i tropiły ich wilki; jedna rodzina straciła przez nie cały zapas suszonego mięsa, a raz nawet porwały piszczące nowo narodzone cielę.

A teraz zaginął chłopiec.

– Wilki – mruknęła Tamsen. Nie zamierzała łączyć tych dwóch wypadków, ale nic nie mogła poradzić.

Betsy zakryła usta ręką, jeden z jej licznych afektowanych nawyków.

– Ale w namiocie spały też inne dzieci – powiedziała. – Przecież by się obudziły...?

– Kto wie?

Szwagierka pokręciła głową.

– Oczywiście to mogli być Indianie – rzuciła. – Słyszałam, że Indianie zabierają białe dzieci, kiedy napadają na osady...

– Na litość boską, Betsy, widziałaś tu jakiegoś Indianina przez ostatnie dwadzieścia mil?

– Więc co się stało z tym chłopcem?

Tamsen tylko pokręciła głową. Dzieciom – i kobietom – często przytrafiały się straszne rzeczy w ich własnych domach, z rąk ludzi, których znały i myślały, że mogą im ufać. Jakby tego było mało, tutaj mieszkali obok setek obcych. Całkiem możliwe, że któryś z nich popełnił okropny grzech.

Ale ona nie padnie ofiarą tragedii, nie dopuści do tego. Miała środki obronne, chociaż ograniczone; zaklęcia, talizmany, sposoby przekonania zła, żeby ominęło jej drzwi.

Niestety, jednak nie mogły odpędzić zła, które zagnieździło się w środku.

W pobliżu mężczyzna, którego Tamsen rozpoznała jako Charlesa Stantona, poganiał witką bydło. Młodszy od George'a, wyglądał na człowieka, który przez całe życie harował ciężko na polu, a nie w sklepie. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Tamsen. Szybko odwróciła głowę.

– Prawda jest pewnie dużo gorsza od wszystkiego, co sobie wyobrażamy – powiedziała; zaszokowana mina szwagierki sprawiła jej pewną przyjemność.